

Monika Glińska

Lauerat konkursu Literacki Fenix

Demony a bogowie

- Zwróć uwagę na rzeczy popularne, wszystkim znane.

- Co masz na myśli?

-Na przykład Spiderman, Kobieta-Kot, wilkołak... To wszystko, co nas otacza, ma oddźwięk w mitologii i kulturze wszystkich krajów. Kościół katolicki nazwałby nas demonami, w starożytnym Egipcie byłibyśmy bogami, a antyczni Grecy nazwaliby nas herosami, półbogami.

- Jaka jest nasza prawdziwa geneza?

- Tego nie wiadomo. Duchy zwierząt są nieobliczalne, a ich wybory nieuzasadnione.

Stałam na szczycie kilkunastopiętrowego budynku. Otulał mnie przenikliwy wiatr. Usłyszałam świst skrzydeł, zauważyłam parę wielkich błyszczących żółtych oczu. Po chwili zorientowałam się że to sowa lecąca prosto na mnie.

Stałam jak słup soli, a ona się zbliżała.

Pięć metrów, trzy, półtora, metr. Instynkt podpowiadał mi „wiać”, ale ja wciąż się nie ruszyłam. Ptak, niczym duch, przeleciał przeze mnie. Powiodłam za nim wzrokiem i całkowicie obróciłam głowę do tyłu.

Zaatakował mnie niesamowity ból w okolicy łopatek, tuż pod skórą. Szybko obróciłam głowę i skuliłam się w kłębek. Ból był tak nieznośny, że zaczęłam się miotać i kręcić, zbliżając do krawędzi wieżowca, ale moje ciało znów nie słuchało ostrzeżeń umysłu. W pewnej chwili, po gwałtownym szarpnięciu, po prostu spadałam z dachu.

Po raz kolejny w tym tygodniu obudziłam się złana potem i z krwią kapiącą z nosa.

- Te koszmary są coraz gorsze - mruknęłam do siebie. I coraz bardziej realistyczne - dodałam w myślach.

Schodząc po schodach na śniadanie, dopełniając miesięcznej już tradycji, szepnęłam „to nie będzie dobry dzień”.

Kolejka do gabinetu dyrektorki była mniej więcej proporcjonalna do tej w sklepach podczas wielkich wyprzedaży. Bładozielone ściany przywodziły na myśl szpital psychiatryczny lub więzienie, zapach wiszący w powietrzu był jednocześnie odrażający i nijaki. Przebijały się przez niego pudrowe, ciężkie perfumy. Oprócz patrzącej na mnie z pogardą sekretarki, z dorosłych w holu nie było nikogo. Siedzieli tam jeszcze trzech chłopcy, którzy rozpoczęli bójkę w jadalni, dwie wagarowiczki i dwóch członków szkolnej drużyny koszykówki.

Skąd mogłam wiedzieć co każdy z nich przeszkrobał? Było to dziecinnie proste. Mimo tego, że nasza szkoła jest duża - naprawdę duża - byłam dobrym obserwatorem. Uczęszczając do niej od ponad roku wiedziałam za dużo o ludziach uczących się w niej i pracujących. Wiedziałam, że główna księgowa ma romans z nauczycielem biologii, że ktoś z rodziny dyrektorki jest w bardzo złej sytuacji zdrowotnej, czy o tym, że córka naszej „sympatycznej” sekretarki prawdopodobnie będzie się rozwodzić.

Sama starałam się nie rzucać w oczy - koniec końców, łatwiej obserwować z ukrycia. Brązowowłosa postać, o długich szczupłych nogach w obcisłych spodniach, za dużym rozciągniętym swetrze i koszulce do połowy uda. Mało kto zauważał oczy w żółtym kolorze, ale jak tylko zwracał na nie uwagę, od razu mówił, że są śliczne - mając na myśli duże i dziwne. Parę razy spotkałam się z określeniem sowie. Niemal stały punkt scenerii w kolejce do gabinetu dyrektorki.

Dziwnym zrządzeniem losu najwygodniejszym krzesłem w całej szkole było to w gabinecie Szanownej Pani Dyrektor, a co zabawniejsze - bywałam tam bardzo często. Zwykle za spanie na lekcji, czasami za ignorowanie poleceń nauczyciela. W rzeczywistości za lenistwo i niebezpieczne dla niektórych aluzje co do ich małych tajemnic.

Po kolejnym kwadransie z gabineciku wyszedł chłopak. Nie znałam go. Na oko miał dwadzieścia jeden lat. Wysoki, o szerokich barkach, krótkich ciemnych włosach i oczach. Oczach, które zaraz po przekroczeniu progu gabinetu zmieniły kolor z bladoniebieskich na smolistoczarne. Wzrok skupił na chłopakach, którzy zapoczątkowali bójkę. Jego wygląd i postura nie mówiły wiele, tyle tylko, że ma mocnego prawego sierpowego, nie przepada za bogatymi licealistami oraz ma dziwną akomodację oka.

Po chwili obrócił się w moją stronę.

-Jeśli to coś wam mówi, mam powiedzieć że Anna Martel może już wejść do pokoju – jego głos: niski, spokojny, bez śladu pytania czy niepewności.

- Tak – odpowiedziałam, cicho wstając i podnosząc plecak z podłogi.

Mijając ciemnowłosego w dusznym holu, oprócz ciężkich perfum poczułam przyjemny świeży zapach morza. Niemal czułam bryzę i słyszałam mewy.

Weszłam spokojnym, wręcz leniwym krokiem do gabinetu. Szanowna Pani Dyrektor siedziała rozparta w swoim czerwonym fotelu ze zmęczonym wyrazem twarzy i ironicznym uśmiechem.

- Ile to już, Anno? Cały tydzień cię tu nie było, niemal się stęskniłam.

- Też miło Panią widzieć, Szanowna Pani Dyrektor – wiedziałam, jak bardzo na nerwy działa jej ten tytuł.

Spokojnie usiadłam na wygodnym krześle, stojącym na środku czerwonego dywaniku w stylu retro.

- Co tym razem? Podobno wywołałaś bójkę?

- Tylko poradziłam Jessice, co powinna zrobić z dwoma ze swoich trzech chłopaków. Zamiast posłuchać, zaczęła krzyżeć, i ostatecznie rzuciła się na mnie.

Tak, wiem jak to brzmi, ale ja nie kłamię, bo po co? Będzie to moja wina, nieważne czy powiem prawdę, czy nie. Powody kłamstw są różne. Zwykle kłamiemy po to, żeby ktoś poczuł się lepiej, lub żebyśmy my mieli łatwiej. Kłamstwa nie były mi potrzebne. I tak miałam wystarczająco poplątane życie.

Blade, niebieskie światło uwydatniało zmarszczki dyrektorki. Miała ciemnosiwie włosy poprzepłatane białymi żyłkami, splecione w delikatny kok. Widać było, że jest zmęczona, a choroba męża (prawdopodobnie, nie jestem pewna co do osoby) daje jej w kość. Mimo to, kobieta dalej sumiennie wykonywała swój zawód.

- Więc, panno Martel tym razem wyjątkowo skończy się na upomnieniu, bez zawiadamiania rodziców, ale następnym razem znów czekają cię dodatkowe godziny sprzątnięcia i pomocy w bibliotece.

Akurat to drugie wymienione przez dyrektorkę jak najbardziej lubiłam - do momentu, w którym się okazało że bibliotekarka ma czasami słowotok, taki typowo babski, i że żali się do kogo popadnie, i płacze, jak nowy chłopak z nią zerwie, co zdarza się często, bo umawia się przez Internet.

- Dziękuję, pani Dyrektor.

- Możesz iść. I kaź przyjść tym od bójki z jadalni, dobrze?

- Dobrze - lubiłam szybko kończyć rozmowy, więc odpowiadałam lakonicznie.

Grzecznie wyszłam z gabinetu, pozbawiając się chęci powiedzenia „On wyzdrowieje, wszystko będzie dobrze.”, bo byłoby to kłopotliwe. Z mina mówiącą „jesteście równie fascynujący jak obserwacja rosnącej trawy” podeszłam do chłopaków, którzy zaczęli się bić w jadalni, i powiedziałam tylko:

- Teraz wy.

Blade promienie słońca muskały moją nagą skórę wśród śniegu. Zimny wiatr wywoływał gęsią skórę. Dziwne wrażenie wydłużonych łopatek towarzyszące napinaniu mięśni pleców. Rękami wyczułam długie miękkie pióra otaczające mnie z różnych stron. Zakrwawione dłonie, mroźny wiatr wywiewający na mnie kolejne fale brązowych skrzydeł.

Słyszałam kroki w śniegu, brzmiące jak zgniatanie folii.

Uczucie spadania wybudziło mnie ze snu, kolejnego koszmaru.

- Chyba zmienię sen na kawę – szepnęłam i zeszałam, jak co rano, na śniadanie.

Dokładnie w ostatni piątek miesiąca lutego do moich drzwi zapukał niespodziewany gość.

Widok za dużego męskiego dresu na dziewczynie postury typowej wychudzonej modelki nie zaskoczył, a jedynie zmartwił chłopaka w niebieskim mundurze policji.

Zmartwił, złe wieści? Czyżby starszy brat znów zaczął kraść? Oby nie, zwykle oznaczało to wzmożoną kontrolę rodzicielską także nade mną.

Do młodego policjanta podszedł starszy i wyższy rangą funkcjonariusz z grobową miną. Czyli jest bardzo źle.

- Panienska Martel?

- Tak, o co chodzi? Czy coś się stało? - spytałam zciekawiona.

- Pańscy rodzice i brat... zginęli w wypadku.

Usłyszałam najgorsze, najbardziej bolesne zdanie w swoim życiu, którego nigdy nie zapomnę. Tak samo jak zapachu mroźnego powietrza, grającej w tle cicho muzyki i przepraszającego wzroku starszego policjanta.

- Wjechali na tory i potraćli ich nadjeżdżający pociąg - dokończył oschle młodszy mężczyzna.

- Bardzo nam przykro – dodał wyższy rangą.

- Rozumiem – cicho podsumowałam i z kamienną miną, bez cienia emocji, wróciłam do dużego pokoju. Wyłączyłam muzykę i, siadając na fotelu taty, zaczęłam myśleć o tym, co będzie dalej.

- Pozwoliliśmy sobie wejść. Na wszelki wypadek musi panienska z nami pojechać, podpisać dokumenty i zabrać odzyskane z wypadku drobiazgi. Jeszcze jedno pytanie, czy macie jakąś rodzinę, która się tym zajmie? Pogrzebem, i tobą?

- Nie, poradzę sobie. Jestem pełnoletnia. Z tego co wiem, znajoma rodziców z ubezpieczalni może się zająć formalnościami.

Zakryłam twarz rękami. „Muszę opanować się i wszystkim zająć”, cały czas powtarzałam w myślach, niczym mantrę.

- Moglibyśmy prosić o namiary na tę osobę, żeby nie musieć zwracać się ze wszystkim do ciebie?

- Ewa Ling. Jednak wołałabym, żebyście zawiadamiali najpierw mnie.

Muszę zachować spokój i kontrolę, nad wszystkim. Jedno słowo: opanowanie.

Wstępnie wszystko miałam ustalone. Jednak spadek okazał się większy niż sądziłam, tak samo duże było odszkodowanie. Mimo że musi mi to pozwolić przetrwać parę lat, a na studiach pójdę dodatkowo do pracy, pieniędzy było dużo. Ale musiałam się niedługo zmierzyć z czymś dużo gorszym

niż papierkowa robota, pogrzebem. Nie ułatwiały mi tego koszmary nawiedzające mnie, jak wieczorna gorączka przy przeziębieniu, każdej nocy.

Ich realizm był bolesny.

Tuż przed ceremonią otrzymałam od policji paczkę z rzeczami rodziców z dnia wypadku. Był to trudny moment, choć niewiele zostało. Wybuch silnika większość zniszczył. Została zawartość torebki mamy i dokumenty taty, oraz portfel, naszyjnik i okulary brata.

Pogrzeb była duży, przyszli wszyscy sąsiedzi, znajomi, nauczyciele, współpracownicy rodziców i koledzy brata, oraz dwójka nieznanych mi chłopaków. Byli bardzo nietypowi na tle reszty uczestników. Rozpoznałam w jednym z nich chłopaka o dziwnej akomodacji oka, drugi wyglądał jak jego brat bliźniak.

Gdy już wszystkie trzy urny (rodzice oraz brat wyraźnie zaznaczyli w testamentach, że pragną być spaleni) wylądowały w ziemi, a ludzie zaczęli składać kondolencje i ustawiać się w kolejce, bliźniaki nie podeszli, a jedynie czekali z boku i przyglądali się, zachowując między sobą dość duży odstęp. Podeszli do mnie zaraz po tym, jak zostałam sama nad grobem mojej jedynej rodziny.

Pierwszy odezwał się ten, którego już kiedyś widziałam. Miał krótsze włosy i jaśniejsze oczy niż brat. Był blady, jakby zdenerwowany.

- Nazywam się Gabriel Alkar, a to mój brat Rafael. Jest nam bardzo przykro z powodu twojej straty, Anno.

Między braćmi był wyraźnie zaznaczony dystans, dotyczący najprawdopodobniej przekonań.

- Znaliście ich? – zapytałam.

- Nasi rodzice... dość blisko się przyjaźnili.

- Twoja mama była moją chrzestną, a ojciec chrzestnym Gabriela.

Po raz pierwszy odezwał się Rafael. Miał cichy ton wyrażający lekką odrazę. Nie spodobało mi się jego podejście, jego brak szacunku do mnie i mojej rodziny, przez co po raz kolejny w tym tygodniu z nerwów zaczęły swędzieć mnie plecy. Blade paznokcie rosły za szybko i na plecach pozostawały rozdrapane strupy. Na samą myśl o dalszych problemach wynikających z tej „pogawędki”, powiedziałam:

- Jeśli to wszystko, muszę już iść.

- Niedługo uświadomisz sobie, jak wiele w twoim życiu się zmieniło i zmieni. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, możesz na nas... mnie liczyć – zadeklarował Gabriel

- Żegnaj, Anno - Rafael jedynie w ten sposób podsumował słowa brata.

Kilka następnych miesięcy było dla mnie bolesnych, emocjonalnie i fizycznie. Brak rodziców był wyraźnym pęknięciem na lustrze życia codziennego, które ograniczyło się ostatnio jedynie do spania, jedzenia i drapania pleców.

Co rano budziłam się z głową jeszcze pełną koszmarów o białej polanie, krwi, skórze i skrzydłach. Najdziwniejsze było to, że był już styczeń, lecz prawdziwe schody zaczęły się dopiero w przeddzień rocznicy śmierci rodziców, gdy z powodu bólu i swędzenia pleców nie byłam w stanie wyjść z łóżka. Zostałam w domu, miałam gorączkę i ciągle te koszmarne sny.

Godzinami wpatrywałam się w zdjęcie rodzinne, nie mogąc zasnąć. Na stoliku przy łóżku trzymałam też obrączki rodziców i łańcuszek mamy, który później należał do brata. Ostatecznie wtedy zasnęłam i po tym śnie - najdłuższym i najbardziej bolesnym koszmarze jaki miałam w życiu - nic już nie miało być takie jak wcześniej.

Przebudziłam się zlaną potem. Ktoś pukał do drzwi. Robił to dość długo i intensywnie. Powoli zwlokłam się z łóżka, z głową ociążoną od płaczu i smutku. Włożyłam sweter i zeszłam po schodach. Padał deszcz ze śniegiem, „miła” odmiana od samych zamieci.

W drzwiach stał Gabriel. Jego niebieskie oczy hipnotyzowały odbiciami kropel wody. Był blady i przemoczony, wyglądał na zmartwionego, ale odetchnął, gdy zobaczył mnie w drzwiach.

Mimo stanu emocjonalnego, w jakim byłam od paru dni, nie potrafiłam wyłączyć myślenia i analizowania otaczającego mnie świata, co po części było dobre bo odciągało wspomnienia... choć na chwilę.

- Hej - nastąpiła chwila ciszy - Przepraszam za godzinę, ale dzisiaj prawie pełnia... Martwiłem się i myślałem o to...

- Wejdz, dam ci suche ubrania, wysuszysz się i ogrzejesz - przerwałam mu.

Na początku był blady, ale się zaczerwienił, przez tę całą dziwną i niezręczną sytuację.

- Nie, dzięki, ale chciałem ci coś dać.

Na jego dłoni leżał mały srebrny medalion. Był dziwnie znajomy.

- Należał do Rafaela. On go nie używał i... pomyślałem o tobie. Jemu to nie przeszkadza, więc..

Widziałam, że kłamie, ale było w tym naszyjniku coś, jakby ukryta częśćka mojej matki. Wzięłam go, a następnie popatrzyłam w oczy Gabriela, co było zasadniczym błędem. Utonęłam w nich – dosłownie i w przenośni. W pewnym momencie poczułam zapach morza, mokrego piasku i soli drażniącej nos, do tego odgłos załamujących się fal i skrzeczących mew. Po chwili ocknąłam się z tego stanu otępienia, lecz ciągle wpatrywał się w jego oczy.

- Muszę lecieć – powiedział.

Ponowny dzwonek do drzwi wybudził mnie z kontemplacji, tym razem jednak nad kubkiem herbaty.

Podświadomość mówiła, że to Gabriel, z parą swoich morskich oczu. Otworzyłam drzwi z nadzieją.

Stał sam, ze spuszczoną głową.

- Przepraszam – szepnął zachrypniętym, niższym niż zwykle głosem.

- Co się stało? – zapytałam. Zbyt późno zorientowałam się, że pachnie starymi dębowymi meblami i naftą, a nie, jak zawsze, oceanem.

Rafael zamaszystym ruchem wbił nóż w mój brzuch. Miękki dźwięk wyciągania z ciała ostrza przeszył mi uszy, a metaliczny i słodki zapach krwi palił nozdrza.

Dreszcze. Niekończące się przesywające mnie bólem dreszcze, oraz nasilające się fale świądu na plecach, towarzyszyły mi aż do chwili, w której straciłam przytomność. Ostatnie co zapamiętałam, oprócz bólu, to moment, w którym ktoś wziął mnie z kremowego dywanu zaplamionego krwią i wyniósł na zewnątrz, a ręce bezwładnie kiwały się w rytm kroków.

Wiatr smagał i ciął moje ciało. Oczami wyobraźni widziałam jak zamrażał każdą komórkę na malutką kosteczkę lodu. Delikatny ciepły puszek musnął moje biodro po raz kolejny. Śnieg nie padał, ale było go tak dużo dookoła. Czułam, że topi się się przede mną. Kroki obudziły mnie, donośne skrzypienie i chrupanie stóp na świeżym śniegu.

Otworzyłam oczy. Rosła postać zasłoniła mi słońce, nie widziałam twarzy. Było mi zimno. Odsunęłam się w daremnej próbie ucieczki, a moje ciało przeszył ból. Oraz nieznanne odczucie... niczym za długich włosów na plecach.

- Nie bój się - głos Gabriela lub Rafaela.

- Odejdź – wychrypiałam. Próbowałam wstać, bezskutecznie. Potknęłam się i upadłam, coś burzyło moją równowagę, jakby moje plecy była dwa razy cięższe i większe.

- Spokojnie, An. Rafaela nie ma - szeptał zbliżając się, a imię brata wymówił z obrzydzeniem.

- Pomogę Ci – kontynuował monolog. Nie byłam w stanie się ruszyć lub odezwać, byłam zbyt osłabiona – Nikt Cię nie skrzywdzi. Zaniósł Cię tylko do..

Po raz kolejny straciłam przytomność.

Następne co pamiętam to miarowe kroki, odbijające się echem bólu w mojej głowie.

- Nie szarp się już, bo znowu będzie Cię boleć - szepnął chłopak pachnący oceanem – Zaraz będziemy na miejscu.

Gabriel wyglądał zupełnie inaczej, ale wiedziałam że to on. Miał dosłownie szary odcień skóry, czarne jak smoła oczy i lekki uśmiech na twarzy. Uświadomiłam sobie, że cały czas byłam naga, teraz jednak zawinięta w kurtkę o jakieś cztery rozmiary za dużą.

- Gdzie byłam? - zapytałam Gabriela.

- W Lesie, na północ od miasta - odpowiedział krótko.

- Czemu po mnie przyszedłeś? Nawet się nie znamy.

- Bo... spróbuj popatrzeć na swoje plecy.

Nie wiedziałam o co mu chodzi, dopóki się nie obróciłam. Zaczynając od tego, że zdołałam obrócić głową zdecydowanie za daleko, niemal o 180 stopni. Z moich bladych jak śnieg pleców wyrastała para dość dużych brązowych skrzydeł.

-Co... co to jest? Ja..jak? – zaczęłam się jękać.

- To dłuższa historia. Opowiem Ci w Gnieździe. Cieszę się, że Rafael zostawił Ci medalion.

Duża rezydencja wyłoniła się spośród gigantycznych sosen. Śnieg nadawał jej bajkowy klimat. Zawiało chłodem. Wtuliłam się mocniej w Gabriela, zaczynałam tracić czucie w stopach.

Główne drzwi otworzyły się zanim do nich doszliśmy. We wnętrzu przy wejściu stała wysportowana ruda kobieta z zielonymi kocimi oczami i migającą rudą kitką za plecami. Był to ogon.

Gabriel wskazał na nią i powiedział.

- Anna, to jest Sao – kobieta uśmiechnęła się zadziornie.

- Witaj, Anno Martel, jesteś Mieszkańcem, tak samo jak ja, Gabriel czy reszta z Gniazda. Mamy zwierzęce cechy, wczoraj się Wyklułaś, Rafael poluje na nas – powitała mnie Sao, dając wiele do myślenia - To wszystko co musisz wiedzieć, idź się zagrzać, bo Gabriel nie da nam spokoju.

Sao obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb korytarza, a my poszliśmy w dokładnie odwrotnym kierunku. Byłam niesiona przez dość wąskie korytarze, dwukrotnie po schodach.

- Przepraszam za nią, lubi stawiać sprawy jasno - stwierdził, wprowadzając mnie do małego pokoju, w którym większość miejsca zajmowało gigantyczne łóżko i regały z książkami. Wskazał drzwi na lewo mówiąc:

- Łazienka, są tam ręcznik i ubrania. Będę tu czekał. Potem się zdrzemniesz i pójdziemy na posiłek, lub odwrotnie, zależy co wybierzesz.

Szybko, jak na mnie, doprowadziłam się do porządku, ściągnęłam zdewastowaną kurtkę, umyłam się i włożyłam jakieś za duże ubrania z dziurami na plecach. Dobry kwadrans patrzyłam na skrzydła czterokrotnie większe od moich pleców przy złożeniu. Gdy wyszłam z łazienki, Gabriel leżał rozłożony na łóżku, czytając jakąś książkę.

- Naprawdę fascynuje Cię poezja?

- Skąd wiesz? - czy on naprawdę chciał zacząć rozmowę o literaturze, przecież ja mam SKRZYDŁA na plecach?!

- Byłaś obserwowana jako Niewykluta, głównie mnie przypadł ten zaszczyt – jego zawadiacki uśmiech powalał.

Położyłam się na drugim końcu łóżka i próbowałam zasnąć. Jednak było coś co mnie zastanawiało i nie dawało mi spokoju:

- On chciał mnie... - nie dane mi było dokończyć.

- Chciał cię zgładzić, nim się Wyklujesz – skwitował z surowością.

Ciekawość była silniejsza niż kultura, więc naciskałam na coś konkretniejszego.

- Czemu? ON nie jest taki jak my?

- My jesteśmy Mieszkańcami Wyklutymi, z kolei on został Łowcą z wyboru, fanatykiem. Poluje na Wyklutych i Niewyklutych. Nie jestem pewien, co spowodowało jego nienawiść do Nas...

- Zazdrość... - przerwałam mu – ślepa zazdrość. Ty miałeś coś czego on nie mógł mieć, mimo że byliście tacy sami. To proste.

Nim zdążyłam się zastanowić, już dokonałam analizy i osądu. Gabriel opuścił głowę z zawodem.

- Nie znałaś go kiedyś. Był inny, pomocny, opiekuńczy.

Poczułam się źle. Po raz pierwszy w życiu przez moją zdolność dedukcji, przez ocenianie innych poczułam się złą osobą, wredną, niegodną (ale czego?)

- Przepraszam – powiedziałam, łapiąc go za rękę. Był zimny, skóra była twarda.

- Nie musisz, pewnie masz rację. Chociaż, widzisz swój medalion. Miał być jego, ale urodziłaś się ty i zachwiałaś równowagę. Bycie Sowią stało się twoją powinnością.

Nie chciałam puszczać jego ręki, więc tego nie zrobiłam. Chyba nie miał nic przeciwko, w każdym razie nie dał tego po sobie poznać. Nawet nie wiedziałam kiedy zasnęłam. Obudziłam się dopiero po paru godzinach.

Pierwsze co zrobiłam po wstaniu to instynktownie rozprostowałam skrzydła. Był to błąd, zrzuciłam z regałów jakieś piętnaście książek.

- Czyli jestem Sowią, tak? Sao jest Kocią, to jasne. A ty? – zapytałam w drodze do jadalni.

- Rekini, czemu to nie jest takie oczywiste?- zapytał. Po jego minie wnioskowałam, że to nie pierwszy raz kiedy nie rozpoznano jego Tożsamości.

Chłodny przedwiosenny poranek. Słońce wstaje. Stoję razem z pomocnikiem Sao, Kainem na polanie, na której się Wyklułam. Ponoć nie jako pierwsza. Lekki południowy wietrzyk zachęcał do rozprostowania skrzydeł i wzbicia się w powietrze.

- Stań w lekkim rozkroku, dobrze - zaczął Kain.

- Ugnij kolana i rozprostuj skrzydła. Zaczynij nimi machać. No dalej, ćwiczeliśmy to tysiąc razy. Dasz radę.

Miał rację. Od tygodni codziennie rano tu przychodziliśmy, i za każdym razem machałam z całej siły. Pióra mi wypadały, miałam nawet zakwasy na skrzydłach, ale wzbicie się było za trudne.

No dalej, nie poddawaj się mała.

Dam radę, dam radę.. - powtarzałam w myślach. Trzepot skrzydeł tworzył małe zawirowania powietrza pode mną i w odpowiednim momencie, instynktownie wiedziałam że to on, kucnęłam i odbiłam się od ziemi. Wzbiłam się na jakieś cztery metry i, nim opadłam na ziemię, złapałam rytm w machaniu skrzydłami.

- Ja latam! – krzyknęłam, szczęśliwa jak nigdy.

Wzniostałam się wyżej. Mój wzrok był na tyle dobry, że zauważyłam Gabriela siedzącego dwieście metrów od polany pod drzewami. Wiedziałam, że podglądał wszystkie nasze lekcje latania.

Odkąd zamieszkałam w Gnieździe spędzałam z nim cały wolny czas, na początku mieliśmy nawet wspólny pokój. Rzadko rozmawialiśmy o jego bracie czy moich rodzicach.

Samo Gniazdo było wielkim ośrodkiem dla Mieszkańców. Było nas wielu, kilku Kocich (w tym Sao), pięciu Psich (w tym jeden husky), jeden Nietoperz i dwóch Ptasich (jedynie Ja i Kain), po jednym z Lwich, Tygrysich i Wilczych. Mało było wodnych, wśród nich oczywiście Gabriel Rekini, jeden Ośmiorniczy i Rybi. Reszty nie poznałam lub nie zauważyłam. Ponoć wielu było na misjach, szukając Niewyklutych i chroniąc ich.

Przebywanie z Gabrielem było łatwe, przyjemnie proste i naturalne, pomijając fakt, że według porządku naturalnego on miał żyć w słonych wodach, a ja na drzewach i w przestworzach.

Mimo naszej przyjaźni, to właśnie on uczył mnie walczyć. Powiedział, że jeśli się polepszę, zacznę ćwiczyć z Sao lub Kainem, bo na razie szło mi marnie. Tygodnie w Gnieździe mijały szybko i ciekawie. Tylko koszmary i wspomnienia psuły całokształt.

- Zwizualizujcie swoją moc Zwierza - charakterystyczny głos Sao rozchodził się po auli Gniazda, pełnej Mieszkańców ze skrzydłami, pazurami, dziwnymi oczami i nietypowymi barwami skóry.

Widząc w umyśle swoją Sowę wdrygnęłam się.

- Spokojnie – szepnął Gabriel

- Po wizualizacji połóżcie prawą rękę na waszym talizmanie, który przeszedł z wami Wyklucie.

Posłusznie ułożyłam dłoń na medalionie, który dostałam w wieczór końca swojego dawnego życia.

- A teraz zamknijcie Zwierzę w talizmanie.

Gdy młodzi Mieszkańcy wykonali polecenie na sali rozległy się jęki, a nawet krzyki bólu. Zamykając moją Sowę w tym więzieniu poczułam się jakby ktoś odciął mi skrzydła tępyimi nożyczkami. W chwili, gdy wszystkie Zapieczętowania się powiodły, Sao znów przemówiła:

- Teraz możecie żyć wśród ludzi, lub zostać z nami tu. Jednak co nów będziecie się przemieniać powrotem w Siebie. Możecie odnawiać Pieczęć co miesiąc lub nie, ale w waszej prawdziwej postaci żaden człowiek nie może was zobaczyć. Zrozumiano? Zrobiliśmy wszystko żeby przygotować was do samodzielnego życia.

Zaraz po Zapieczętowaniu zaczęłam ćwiczyć z Sao, która zadawała wiele niezręcznych pytań.

- Teraz powinnaś odskoczyć, gdy widzisz, że próbuję zmniejszyć dystans – dawała mi instrukcje atakując jednocześnie – Czyli jak długo już jesteście razem?

- My nie... – odpowiedziałam, dając się złapać w jej „sidła” w postaci ciosu w brzuch i podhaczenia.

- Nie dekoncentruj się, twoim głównym celem musi być przeżycie, nie pogawędka. Jeszcze raz.

– Czemu znów chcecie razem zamieszkać? - ponownie podjęła temat.

- Łatwiej nam razem niż osobno – skwitowałam, atakując jednocześnie – On odgania koszmary – dodałam, robiąc dość dobry unik.

Ćwiczyłyśmy tak jeszcze przez kilka godzin.

Zmordowana wróciłam do wspólnego już pokoju, wzięłam prysznic i szybkim krokiem ruszyłam na posiłek. Za dwie godziny miałam trening latania z Kainem. Znów będę ćwiczyć cichy lot i robić korkociągi, dopóki nie zakręci mi się w głowie.

Moja pierwsza pełnia po zapieczętowaniu była niesamowita. Razem z Nietoperzowym i Kainem stanęliśmy na dachu Gniazda i w jękach bólu zmieniliśmy się w siebie. Przez kilka godzin, wraz z tym pierwszym, goniliśmy się pomiędzy chmurami. Był szybki, ale bardzo głośny, w przeciwieństwie do mnie. Kain zniknął na samym początku naszej zabawy, spotkaliśmy go dopiero podczas wschodu słońca.

Gdy wróciłam do siebie do pokoju byłam podekscytowana, by opowiedzieć wszystko Gabrielowi, jednak go nie było. Miałam nadzieję że wróci tego samego dnia. Nie było go trzy dni. Wrócił wciąż niezapieczętowany. Zmienił się, był milczący, oschły. Gdy go zobaczyłam rzuciłam mu się na szyję. Po czym ze złością zapytałam:

- Co ty sobie do cholery wyobrażasz?

- Spotkałem Rafaela – odpowiedział lakonicznie.

Nastała chwila niezręcznej ciężkiej ciszy.

Wciąż wtulona w niego szepnęłam tylko.

- Nie zostawiaj mnie więcej - mówiąc to, poczułam się bezradnie. Nie byłam pewna jak zareaguje.

Ponad pół roku po moim Wykluciu wyprowadziliśmy się z Gabrielem z Gniazda i zamieszkaliśmy w Apartamencie po drugiej stronie kraju, naszym oficjalnym celem było odnalezienie Mieszkańców. Mieliśmy pewność, że nikt nas nie będzie znał. Znaleźliśmy pracę, a co nowo wyjeżdżaliśmy pod namioty i stawaliśmy się sobą.

- Wybacz Gabrielu...- szepnęłam sama do siebie, dźgając Rafaela sztyletem w serce ze łzami smutku i wycieńczenia w oczach.

- Jestem Rafael... - ostatnie słowa, jakie powiedział, opadając na ziemię.

- Wiem. – odpowiedziałam, klękając przy nim w jego ostatnich sekundach życia.

Pogłaskałam jego włosy, wyciągnęłam sztylet i obdarowałam go moją ostatnią łzą.

Obudziłam się zrana potem. Ostatnie czego chciałam to pytający wzrok Gabriela leżącego koło mnie.

-Miałam koszmar. – już nachylał się by mnie przytulić - Zabiłam w nim Twojego brata.